ŚWIATŁO

Rok IX. Bytom G.-Szl., 1-go Grudnia 1895. Nr. 23.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste t 101) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Gabryel Hołubek,

SŁAWNY GÓRNIK I BOHATER POLSKI.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XVI WIEKU PRZEZ STA.

(Ciąg dalszy.)

IX.

Dewnego poranku, w kilka dni po koronacyi Zygmunta, w jednej z komnat zamkowych siedział hetman wielki przy stole, całkiem założonym papierami, i zdawał się czekać na coś, czy na kogoś. Natężonem myślenieni poorane czoło, wsparł na kształtnej ręce, a głębokie, dziwnej piękności oczy, w tej chwili pełne smutnego wyrazu, trzymał utkwione w dwa duże dokumenta opatrzone pieczęciami, leżące tuż przed nim. Mimo powodzeń dni ostatnich, Zamojski był posępnie zadumany, bo trosk i zmartwień nie brakło temu zacnemu mężowi.

Jak wszystkich tak i jego raził smutek i zimno młodego króla, który lubo hetmanowi wszystko zawdzięczał, przecie zdawał się zachowywać w obec niego pewną ostrożność i jakby niedowierzanie. Mówiono, że przeciwnicy kanclerza, zazdroszczą mu potęgi i obawiając się, aby na króla nie wywierał przeważnego wpływu, uprzedzili Zygmunta przeciw niemu; mieli zaś ku temu sposobność w drodze, gdy towarzyszyli królowi z Gdańska do Krakowa.

Zamojski, chociaż czuł się dotknięty obojętnością monarchy, był przecież zbyt zacnym człowiekiem i dobrym synem Ojczyzny, aby dla osobistej urazy miał porzucać sprawę Zygmunta, kiedy w wyniesieniu go na tron widział dobro dla kraju. W tej chwili też nie myślał o zachowaniu się króla w obec siebie, ale o tem, jakby ubezpieczyć jego panowanie, zgodę i jedność zaprowadzić w państwie, a pozbyć się jak najprędzej z kraju Maksymiliana. Rozumiał bowiem dobrze, że skoro arcyksiążę otrzyma silną pomoc cesarza, walka stanie się bardzo nierówna i może wypaść na niekorzyść co dopiero ukoronowanego monarchy. Arcyksiążę zaprotestował przeciw koronacyi Zygmunta, jakby wierzył, lub udawał, że wierzy, iż on ma większe prawo do polskiej korony. Ponieważ zaś pojawiła się w okolicy zaraza, przeto przeniósł się z Krzepic do Wielunia i tu

czekając odsieczy, nie myślał ustępować bez walki. Zamojski postanowił tedy rozprawić się z Maksymilianem stanowczo i zmusić go do zrzeczenia się tronu polskiego, a chciał to uczynić jak najprędzej, nim nowa pomoc od cesarza nadejdzie.

W tym celu, gotując się do pochodu, gromadził pod swe sztandary co najwięcej wojska i najsławniejszych tegoczesnych rycerzy i wodzów. Byli więc z nim sławny Żółkiewski, Jakób Potocki, Koniecpolski, Urowiecki i nasz Gabryel Hołubek, którego hetman pokochał jak syna, sam będąc wielbionym i miłowanym przez dzielnego górnika. Dawniejsze chorągwie Zamojskiego wsparli teraz ochotnicy Hołubkowi, nadworne poczty pańskie, dostarczone przez przyjaciół, gdyż panowie polscy trzymali własne wojska, i Siedmiogrodzianie, których przywiózł Baltazar Batory, synowiec nieboszczyka króla Stefana.

Mimo tysiącznych zajęć, nie zapominał zacny kanclerz o tych, którzy godni byli pamięci i nagrody. W tej chwili właśnie, siedząc samotnie w komnacie, oczekiwał na Gabryela; nie zadawalniając się bowiem nagrodą, jaką król obdarzył bohaterskiego młodzieńca, chciał sam, ze swej strony, nagrodzić go także. Niebawem też drzwi się otwarły i Hołubek raźno wszedł do pokoju, kłaniając się od proga. Na widok ulubieńca poweselała twarz Zamojskiego; podał rękę Gabryelowi, którą ten z przywiązaniem do ust przycisnął i wskazując mu krzesło, rzekł wesoło:

— No, mój mężny pogromco arcyksięcia! mniemam, żeś dość użył wczasu, przez te kilka dni i pilno ci do boju? Chciałem tedy powiedzieć waści, że niebawem ruszymy w zacnym towarzystwie na Maksymiliana.

Oczy Hołubka pojaśniały, rumieńce wystąpiły mu na twarzy.

— Jam zawsze gotów do walki, wasza miłość! — zawołał z zapałem. — I jeźli taki rozkaz, to jeszcze dziś poprowadzę moich, gdzie trzeba!

— Otóż właśnie mam ci powiedzieć, że nie poprowadzisz swoich. W twoich chorągwiach, jak wiesz, są ludzie rozmaici, jedni zupełnie z wojną nie obeznani, drudzy wprawili się już pod twoją komendą i są niezrównani do wojny podjazdowej, a masz też pomiędzy twoimi takich, którzy już w niejednej wojnie byli i w otwartem polu umieją stawić się nieprzyjacielowi. W utarczkach, jakie dotąd prowadziłeś, wszyscy ochotnicy twoi bili się jak lwy i cudów waleczności dokazywali; wszelako, gdyby im przyszło stawić czoło wyćwiczonym wojskom arcyksięcia i Zborowskich, kto wie, czyby nie zostali rozbici? Postanowiłem więc twoich ludzi, odpowiednio do zdolności i ochoty, do jakiej broni każdy z nich ma upodobanie, rozmieścić w różnych chorągwiach; czynię to zaś tak ze względu na nich samych, jak i dla dobra całej mej siły. Wahanie się bowiem jednej chorągwi mogłoby źle oddziałać i na inne i popłoch wywołać; a wtedy nietylko straciliby sławę w tylu walkach nabytą, ale jeszcze wyrządziliby szkodę całemu wojsku.

— Wola waszej miłości jest dla mnie święta — odparł Gabryel, — choćby więc było coś nie po mej myśli, zawszem gotowy na rozkazy; aleć temu, co wasza miłość postanowił uczynić z moimi żołnierzami, sam rad jestem. Jak tylko przyszliśmy do Krakowa, ciągle mnie trapi myśl, czy aby moi towarzysze tak się potrafią bić w otwartem polu, jak się bili w wojnie podjazdowej. Teraz zaś pewnym ich będę, że się i przed najsroższym ogniem nie cofną.

— To dobrze! Chodzi mi też i o to, mój synu, aby cię już na zawsze mieć przy sobie... W tym celu przeznaczyłem ci dowództwo jednego pułku mej jazdy, bo do tego postawą, siłą a i pewnie ochotą, najlepiej się nadajesz... Tu oto masz nominacyą na pułkownika.

Mówiąc to wielki hetman, podał Hołubkowi jeden z papierów, które przed nim leżały. Gabryel zarumienił się jak panienka, bo się takiego odznaczenia nie spodziewał. Pułkownictwo bo-

wiem w pancernej chorągwi był to zaszczyt nielada. Więc choć dotąd był komendantem wszystkich ochotników i więcej ludzi miał pod sobą, to przecież wielka była różnica w prowadzeniu ochotników, z którymi walczył na własną rękę, a w dowodzeniu całym pułkiem, w wojsku, gdzie głównym wodzem był sam wielki hetman. Zarumieniony więc i zmięszany, jął skromny młodzieniec dziękować Zamojskiemu, który przecież wnet mu przerwał:

— Nie dziękuj już tak, bo ci się przecie jako byłemu komendantowi dowództwo należy. Choć wiem, że zawsze będziesz Ojczyźnie służył i rycerskiego rzemiosła już nie porzucisz, bo masz do niego niezmierne zdolności, aleć przecie zawsze bić się nie będziesz, bo dzięki Bogu, nie zawsze jest wojna...

Tu kanclerz westchnął, ręką przeciągnął po czole, ale zaraz mówił dalej:

— Dajże Boże, aby się i tu nieszczęsna rozprawa pomiędzy braćmi co prędzej skończyła; bo ze wszystkiego złego najgorsza wojna domowa... Otóż więc kiedy pokój nastanie, i będziesz chciał zażyć dobrze zasłużonego wczasu, pragnę, abyś przecie i po za kwaterą pułkową miał gdzie głowę schronić... W tym celu nabyłem na twoje imię kochany Gabryelu, kawałek ziemi. Są to trzy folwarki, z niezłą pono glebą, niezbyt daleko od Olkusza, bo jeno coś cztery mile. Przyjmijże mój synu, ten dar odemnie na dowód, iż cię szczerze miłuję i cenię twoje zasługi.

Gabryelowi łzy napłynęły do oczu, pochylił się do nóg hetmana i rzekł z pewnem wahaniem:

— Ojcze miłościwy... Wasza miłość płacisz tak hojnie to, co było moją powinnością świętą... Teraz, gdym tak wspaniale obdarzon, zdawać mi się będzie, żem nic dla matki Ojczyzny nie zrobił... bom zapłacon...

Hetman zrozumiał uczucia szlachetnego młodzieńca, który pragnął Ojczyznie służyć z czystej miłości i poświęcenia, a nie dla nagród, chlebów i zaszczytów. Wzruszony więc głęboką taką zacnością, przytulił zawstydzonego i zakłopotanego Gabryela do piersi, ucałował jak syna i szepnął:

— Przykład z ciebie synu, brac innym... przykład brać... Ale już się tak nie sromaj i to sobie powiedz, że matka Ojczyzna jest także panią i królową, która też nie rada ma zbyt wielkie długi u swoich poddanych. I o tem pamiętaj, że cnocie i zasłudze zawsze się należy nagroda... choćby dla zachęty mniej cnotliwych.

Tu pan Zamojski wziął drugi papier i podając go Hołubkowi, rzekł jeszcze:

— Weź-że więc, mości pułkowniku, ten dokument, że kawałek polskiej ziemi, którą tak dzielnie własnemi piersiami zasłaniałeś, jest twoją własnością.

W pół godziny później był już Gabryel z obydwoma dokumentami u pana Adama, który wyściskawszy szwagra ze wszystkich sił, już mu na pewno przepowiadał buławę wielką, a przynajmniej polną.

Ale nietylko sam Hołubek był tak wspaniale nagrodzon, stary Semen został oficerem, Antek i Maciek Szypełkowie, oraz kilku innych górników i ochotników, którzy się szczególnie odznaczyli, otrzymali od hetmana po sto dukatów i różne stopnie w wojsku.

Tymczasem Zamojski wiedząc, że od pospiechu zależy zwycięstwo, a od zwycięstwa utwierdzenie Zygmunta na tronie i spokój w kraju, zgromadziwszy wszystkie swe siły, postanowił spiesznie pociągnąć na Maksymiliana, uderzyć na niego bezzwłocznie i zwyciężyć lub zginąć. Trzynastego tedy Stycznia 1588 roku, w mroźną ale jasną noc, wyruszył hetman z Krakowa.

Księżyc w pełni tocząc się po niebie bez chmurki, rozsypywał brylantowe iskry po zmarzłym śniegu, odbijał się na grotach włóczni, przeglądał w jasnych zbrojach rycerzy. Chorągwie migocąc w srebrzystem jego świetle, szły przyspieszonym marszem, a hetman parł je coraz gwałtowniej, bez chwili spoczynku, aby co prędzej dosięgnąć arcyksięcia. Jakoż pod Parzymiechami przednia straż Zamojskiego, składająca

się z Siedmiogrodzian, pod dowództwem Wojciecha Kirala natknęła się na przednie straże Maksymiliana, którym przewodził djabeł Stadnicki.

Dzielny Kiral skoczył natychmiast ze swymi i potężnie natarł na nieprzyjaciela; zawrzała sroga, ale krótka walka, bo pod gwałtownem parciem Siedmiogrodzian, szeregi Stadnickiego pękły, rozsypały się i poczęły spiesznie się cofać. Próżno Stadnicki zastępował im drogę, próżno wzywał i zachęcał do walki; nikt go nie słuchał, każdy myślał o własnem ocaleniu i niebawem cały oddział zawróciwszy, uchodził na oślep przed siebie. Kiral widząc powszechną ucieczkę, wsiadł uchodzącym na karki i jechał na nich niemal pod sam obóz arcyksięcia; wstrzymał się dopiero wtedy, gdy już niebezpiecznie było iść dalej.

Tymczasem przerażona straż przednia wpadłszy w popłochu na główne siły, wywołała straszne zamięszanie, w obozie sądzono zrazu, że Zamojski nastąpił z całą siłą i wszyscy mieli się do ucieczki; zaledwie Stadnicki, a później i inni wodzowie pohamowali spłoszone chorągwie. Maksymilian dowiedziawszy się o porażce i widząc co się dzieje, jak na samą wieść o hetmanie wojsko jego zmyka, nakazał czemprędzej odwrót, nie chcąc czekać nadejścia nieprzyjaciela. Obawiał się słusznie, że za zbliżeniem się Zamojskiego, o którym wiedział, że sam idzie na niego, wszystkie jego chorągwie, tak samo jak straż przednia, pójdą w rozsypkę. W nocy tedy 22-go Stycznia, cała siła arcyksięcia, z nim samym na czele, uchodziła spiesznie za granicę Szląska. Maksymilian sądził, że tamdotąd nie będzie go hetman ścigał; on zaś doczekawszy bezpiecznie, na ziemi cesarskiej posiłków i wzmocniony nimi znacznie, sam uderzy na kanclerza i w puch go rozbije.

Lecz zawiódł się arcyksiążę w rachubie: Zamojski bowiem postanowił bądź-co-bądź skończyć z Maksymilianem; nie oglądając się też wcale na granicę, poszedł w tropy nieprzyjaciela i dosięgnął go w księstwie brzeskoszląskiem pod miastem Byczyną; dwa wojska tedy stanęły sobie oko w oko; tutaj to stoczył Zamojski jednę z tych walk, które wieczną chwałą okryły jego imię.

Maksymilian ujrzawszy teraz rozwinięte siły hetmańskie i spostrzegłszy, iż są znacznie mniejsze od jego sił, nie myślał wcale dalej uchodzić, ale ochoczo, z pewną nadzieją zwycięstwa, stanął do walnej rozprawy. Przy arcyksięciu dowodzili: pan Andrzej Zborowski, Stanisław Stadnicki i von Lichtenstein, który się był już ze swej rany wygoił; naczelne dowództwo miał przecież sam Maksymilian. Zamojski przyjrzawszy się bacznie nieprzyjacielskim szykom, sprawił swoje wojsko, ustawiając ciężką jazdę przeciw Austryakom, Siedmiogrodzian przeciw najemnym Węgrzynom arcyksięcia, a nadworne poczty, przysłane przez przyjaciół, przeciw Polakom, którym przewodził Stadnicki.

Bój rozpoczął on właśnie, więc poszli Polacy na Polaków; była to walka straszna, grzeszna, bo Kainowa, bratobójcza. Uderzono w trąby i kotły, a na ten znak, dwa oddziały przeciwników rzuciły się na siebie z niezmiernym impetem. Grad kul posypał się z jednej i drugiej strony, lecz szkody nie uczynili sobie zbyt wielkiej; chorągwie szły już jak burza i niebawem uderzyły o siebie jak dwie fale, z dwóch stron przeciwnych, gwałtownym wichrem zegnane. Polacy po większej części byli sławnymi fechmistrzami, więc straszni w ręcznem spotkaniu; teraz, gdy po obydwóch stronach byli równie dzielni zapaśnicy, wszczął się bój iście zapamiętały i rzeź prawdziwa. Strach i ból powiedzieć, ale bracia na braci rzucili się z dziką zajadłością, jakby pragnęli wymordować się nawzajem i jedni na drugich pomścić bratnią rozterkę; po jednej i drugiej stronie ryczały zawzięte i wściekłe głosy:

— Bij! Zabij! Morduj! Siecz!

I z męstwem a raczej z wściekłością posuniętą do szału walczyli z sobą. Zamojski zasłonił ręką oczy, bo gniew i żal szarpał mu sercem, na widok tej

bratobójczej walki; widząc zaś, że prędzej się nawzajem wymordują, a nie ustąpią sobie, postanowił przyjść swoim w pomoc.

W tym celu pchnął dwa tysiące Siedmiogrodzian w ogień. Wiódł ich Baltazar Batory, który siedząc na pięknym koniu, leciał w pierwszym szeregu, z szablą do góry wzniesioną, i jak grom wpadł na zastępy Stadnickiego. Poczty dworskie widząc przybywającą pomoc, wydały okrzyk radosny i pospołu z Siedmiogrodzianami uderzyli potężnie na wroga; szyki Stadnickiego oparły się chwilę, ale naciskane z niezmierną siłą, rażone ogniem i ołowiem, sieczone mieczami, zachwiały się, zwichrzyły i pierzchły ku swoim.

Z radosnym okrzykiem zwycięstwa pognali za nimi kanclerscy; ale w tej chwili Stadnicki ściągnął rozpierzchłe szeregi, aby raz jeszcze stawić czoło; równocześnie Maksymilian dał znak z Węgrami rzucili się swoim na pomoc. Zawrzała walka na nowo, a stała się znowu sroga, zacięta i ciężka, bo Siedmiogrodzianom i Polakom przyszło potykać się teraz z o wiele większemi siłami, gdyż i Stadnicki, zagarnąwszy zdziesiątkowane swoje chorągwie, rzucił się z niemi w ogień.

Biło się już teraz wszystko niemal wojsko: arcyksiążę zatrzymał tylko Austryaków przy sobie, chcąc z nimi w stanowczej chwili uderzyć i przeważyć szalę zwycięstwa na swoją stronę; przy Zamojskim zaś została husarya i jedna chorągiew lekkiej jazdy, którą dowodził pan Adam Wisłocki. Bitwa stawała się coraz krwawsza, coraz zapamiętalsza; hetmańskie zastępy broniły się z rozpaczliwą odwagą, napierane przemożnemi siłami arcyksiążęcych chorągwi, nie pozwoliły się rozerwać, ale nieznacznie ustępowały coraz bardziej w tył, ku stanowisku hetmana; Zamojski pilnie śledząc przebieg bitwy, spostrzegł, iż żołnierze bronią się coraz słabiej, dobywając ostatka sił, skinął więc na pana Adama i krzyknąwszy:

— Czas ich wesprzeć! Prowadź! — wskazał mu chwiejącą się linię Siedmiogrodzian.

Młody rotmistrz poprawił się na siodle, podniósł szablę do góry i chorągiew ruszyła z kopyta. Pan Adam był młody człowiek, ale żołnierz i wódz doświadczony; serca rosły rycerzom patrzącym, jak ten na kresach wyćwiczony dowódzca szedł do ataku. Nie zapalił on się od razu do bitwy, nie dał się unieść szałowi bojowemu, ale jak mistrz prawdziwy, obeznany dobrze z rzemiosłem, spokojnie, z zimną krwią, biegł ze swą chorągwią, jakby ją wiódł w taniec. Dopiero w miarę, jak konie przyspieszały biegu, rozigrała się krew w dzielnym rycerzu, aż gdy już wzięły największy pęd, płomienie uderzyły mu na twarz i jak burza wpadł na Węgrzynów. Walcząc zaś zawsze w pierwszym szeregu, nie spuszczał rotmistrz ani na chwilę z oka chorągwi, zjawiając się z rozkazem, z gorącem słowem zachęty tam, gdzie był najwięcej potrzebny.

Wsparci tak dzielnie Siedmiogrodzianie i Polacy z nowym walczyli zapałem; lecz w tej samej nieledwie chwili skoczył swoim na pomoc sam arcyksiążę z Austryakami. Widząc bowiem, że jazda Zamojskiego poszła do ataku, sądził, że hetman ostatkiem sił uderzył, więc bojąc się rozbicia swych szeregów, wyprowadził resztę chorągwi do bitwy. Ale jak uderzenie Maksymiliana było gwałtowne, tak samo opór był silny; chorągwie pomięszały się z sobą, siekąc się i rąbiąc z wzrastającą wściekłością; wrzaski rozpaczy i okrzyki tryumfu, jęki rannych i chrapanie konających rozlegały się coraz głośniej, mięszając się ze zgrzytem żelaza, brzękiem mieczów i sapaniem walczących.

Djabeł Stadnicki spostrzegł wnet pomyłkę arcyksięcia; w dali po za linią walczących widział kanclerza w jasnej zbroi, z hetmańskim buńczukiem i proporcem wiejącym mu nad głową, a tuż przy nim zastęp niezrównanej jazdy, jakby mur żelaznych mężów i koni, z chmurą skrzydeł i lasem kopii sterczących do góry. Poznał, że jeżeli

prędko nie rozgromi nieprzyjaciela, nie rozerwie szyków, nie rozniesie popłochu, tedy mimo większych sił Maksymiliana, zwycięstwo bodaj po jego będzie stronie. Skoczył więc na czoło Polaków i Węgrzynów i zagrzawszy ich kilku gorącemi słowy, rzucił się jak potok na środek szeregów hetmańskich i parł je z taką gwałtownością i siłą, że linia Siedmiogrodzian zaczęła się zaraz uginać, kolebać i usuwać ku stojącej w dali hussaryi. Ale dzielni Siedmiogrodzianie, chorągiew pana Adama i reszta poczt nadwornych, mimo całej wściekłości uderzenia, nie dając się przełamać, pracują ze wszystkich sił, ręce im omdlewają, trup pada coraz gęściej i tylko nadzieja szybkiej pomocy ze strony jazdy jeszcze ich podtrzymuje. Stadnicki już tryumfuje w duszy, doskonale on widzi zwątlone siły przeciwników, jeszcze chwila, a rozerwie kanclerskie szyki, rozpędzi na pojedyńcze kupy i dotnie tych, co dotąd nie padli. Ale Zamojski z natężoną uwagą patrzący na bitwę, uznał że czas teraz, więc już dłużej nie czeka; skinął złocistą buławą, pułkownicy podnieśli koncerze i hussarya zerwawszy się, pomknęła. Biegli z hukiem, jak burza, z warkotaniem proporców, a szumem skrzydeł i chrzęstem żelaznych zbroi. Siedmiogrodzianie i Polacy, z błyskawiczną szybkością, rozstąpili się w dwie strony, aby im przystęp do nieprzyjaciela uczynić. Uderzenie husaryi było straszne, żadne wojsko nie mogło jej pola dotrzymać, więc i Austryacy go nie dotrzymali. Żelazna nawała jeźdźców i koni wpadła, jak uragan na arcyksiążęce szeregi, gniotąc i przewracając wszystko po drodze; konie przerażone szumem skrzydeł, zaczęły roznosić popłoch w szeregach, a husarze uderzywszy kopiami w ścianę nieprzyjaciela, złamali go od razu. Jak pod uderzeniem gromu rozprysły się szyki na bezładne kupy i rozsypały po całem pobojowisku; teraz jeźdźcy skruszywszy kopie, jęli ciąć mieczami, czyniąc w około straszne spustoszenie. Niektóre gromadki broniły się odważnie, ale większa część wojska, w zamięszaniu i nieładzie, z przeraźliwym wrzaskiem uchodziła ku miastu.

Zamojski sam prowadził jazdę, ciskając się własną osobą tam, gdzie największe było niebezpieczeństwo, w najstraszliwsze wiry; a tuż przy nim szedł Hołubek, któremu się zdawało, że ma skrzydła u ramion, bo to dziś pierwszy raz walczył w otwartem polu, przeciw starym, wyćwiczonym żołnierzom, pod wodzą wielkiego hetmana, obok najznakomitszych rycerzy. To też sam jeden rzucał się na gromady i pustkę przed sobą czynił, roznosząc śmierć w około. Dwa razy już ratował życie Zamojskiemu, a teraz gdy zrozpaczony Stadnicki, który już bliskim sądził się być zwycięstwa, widząc powszechny popłoch, z niezmiernym wysiłkiem zebrał resztę Polaków i z wściekłością w sercu, stawił raz jeszcze czoło hetmanowi, Hołubek na czele kilkunastu jeźdźców zwalił się jak burza wprost na Stadnickiego, i byłby przyszedł na niego kres ostatni, gdyby nie kilku żołnierzy, którzy rzuciwszy się na Gabryela, zasłonili swojego wodza; lecz bohaterski górnik rozpędził ich jak wicher liście i pognał dalej, hucząc po pobojowisku, ścigając, rąbiąc, siekąc; a tuż za nim pędzili inni husarze, nie pozwalając nieprzyjacielowi przyjść do sprawy i stawić czoła.

Stadnicki nie próbował już też więcej obrony, ale skoczywszy ku Maksymilianowi jął nań nalegać, aby co tchu uchodził z pola, jeźli nie chce paść lub dostać się do niewoli. Arcyksiążę rzucił okiem do koła i ujrzał całe swoje wojsko, które dotąd nie padło pod mieczem hussarzy i pomagających im szczerze Siedmiogrodzian, oraz lekkich chorągwi, jak strwożone, obłąkane, z przeraźliwym krzykiem, w najstraszniejszym popłochu, uchodzące ze wszystkich sił do Byczyny. Uznał więc, że pan Stadnicki dobrze radzi, zwłaszcza gdy z drugiej strony przyszedł do niego von Lichtenstein, wołając:

— Wszystko stracone, miłościwy panie! Uchodź! uchodź! czemprędzej: Ci jeźdźcy polscy, to djabły nie ludzie!

W chwilę później już się nikt nie bronił: cała armia Maksymiliana umykała co tchu, wraz z arcyksięciem i wodzami, za warowne mury Byczyny. Wszystkie chorągwie Zamojskiego poszły w pogoń i gnały uciekających do samych bram miasta; dopiero, gdy armaty i muszkiety ozwały się na wałach, zagrały trąbki do odwrotu i zwycięscy z głośnymi okrzykami radości, wrócili na opustoszały plac boju.

Wielki hetman tryumfował, ale krwawe były skutki walki: na pobojowisku policzono tysiąc osiemset głów podgolonych, to jest polskich i węgierskich, a dwa tysiące dwieście ostrzyżonych po niemiecku. Pomiędzy innymi poległ też Antek Szypełka, a Maciek lekką otrzymał ranę; ciężko zaś ranny był Żółkiewski i kilku innych oficerów, oraz wielka liczba prostych żołnierzy, zwłaszcza z austryackiej strony. Natomiast Zamojski, pan Adam, Gabryel i Semen wyszli cali i zdrowi, weseli i upojeni zwycięstwem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



OBŁĄKANA.

W pewnej wioseczce, tuż nade drogą,
Mglistym jesiennym porankiem
Jakąś niewiastę młodą, ubogą
Lud tłumnym otoczył wiankiem.
A że ciekawość zwykła to wada,
Zkąd przyszła, badać ją zaczną;
Lecz ona tylko im odpowiada
Śmiechem i piosnką dziwaczną.
Do piersi jakąś gałąź przyciska,
Postać jej kryją łachmany,
W oku jej dziwny ogień połyska,
Co zdradza smutek nieznany.
Kiedy nieszczęsną tak mierzą wzrokiem,
Ciekawość z biegiem chwil wzrasta,
W to samo miejsce pospiesznym krokiem
Nadchodzi stara niewiasta,
I w środek tłumu wszedłszy powoli,
Przemawia do ludu z bliska:
— Nie urągajcież bratniej niedoli
Moi poczciwi ludziska;
Ta, co ją macie tu przed oczyma,
Dotknięta chorobą zdradną,
Jeszcze trzech latek podobno nie ma,
Była szczęśliwą i ładną.
Zanim jej zmysły prawica Boska
Zmieszała wiecznie niestety,
Wierzcie mi bracia, że nasza wioska
Lepszej nie miała kobiety;
Ojców straciła w dziesiątym roku,
Lecz stryj, co kochał ją tkliwie,
Chował dziewczkę przy swoim boku,
I wydał za mąż szczęśliwie.
O! tak, szczęśliwie choć niebogato,
Boć pieniądz nie cel zamęścia,
A żyli zgodnie i każde lato
Niosło im nowy plon szczęścia.
Już w drugim roku poczciwa Hanka
Szczęsna jak mało na świecie,
W ubogiej chatce swojego Janka
Pieściła pierwsze swe dziecię.
I dzięki Bogu niosąc jedynie,
Codzień śpiewała mu chwałę,
Bo w owej to drobnej, wątłej dziecinie
Widziała szczęście swe całe.
Janek też kochał lube swe dziecię,
Cenił poczciwą swą żonę,
I swojej biednej doli na świecie,
Nie oddałby za koronę.
Ale raz właśnie o takiej porze,
Gdy dziecię przeszło rok miało,
Hanka prać chusty poszła we dworze,
Ono przy świekrze zostało.
Ta wziąwszy kądziel, siadła przy synku,
Kołysząc, jego tchu słucha,
Lecz nucąc do snu tuż przy kominku,
Sama zasnęła starucha.
Oj! spałaż twardo, bo tak się stało,
Że nim nadleciał tłum ludzi,
Płomień już chatę ogarnął całą,
Któż teraz ze snu ich zbudzi?
A Janek kończąc siewy na roli,
Dziwnym przejęty był strachem,
Jakby nieborak tej strasznej doli
Mógł pod swym spodziać się dachem.
I tak nie mówiąc o tem nikomu,
Miotany w dziwnych cierpieniach,
Pobiegł czemprędzej drogą do domu,
I ujrzał dom swój w płomieniach.
Tu go odbiegła przytomność wszelka,
Nie dbając, że dach już płonie,
Biegł po swe dziecię, a w tem go belka
Na wieki w płomieniach chłonie.
Hanka niebuga później nadbiegła,
Nie znając ognia przyczyny,
Lecz tylko trupa męża spostrzegła,
A później trupa dzieciny.
Wtedy ją dzika boleść owładła,
W cierpieniach dotąd nieznanych

Na zgliszczu chaty jak martwa padła,
Przy zwłokach swoich kochanych;
A gdy ją w strasznym cucono stanie,
Nie szczędząc tkliwej opieki,
Już jej zmysłami to obłąkanie
Zawładło i już na wieki.
Mniej przez to czuje straszne cierpienie,
Ułuda dręczy ją sroga,
Patrzcie! ot teraz szarpie odzienie,
Dziecię chcę karmić nieboga.
Nikomu ona nigdy nie szkodzi,
Rzadko przerywa swą ciszę,
Czasem gdzieś zdala ze wsi uchodzi,
Coś tuli, pieści, kołysze...
I tu staruszka wywiodła z tłumu,
Mową znać dobrze jej znaną,
Silna potęgą swego rozumu
Nieszczęśliwą obłąkaną;
A lud pod krzyżem ukląkł parami,
I w dziwnym wzruszenia stanie
Z całego serca nucił ze łzami:
Z takiego stanu wybaw ją Panie!

IGNAŚ.

Opowiadanie z czasów wydalań rodzin polskich z granic Niemiec.

(Ciąg dalszy.)

Rozległ się głuchy łoskot grud, uderzających o wieko trumny, obecni cisnęli się do dołu, by zmarłej ostatnią oddać przysługę. Kopacz jednym zamachem łopaty całe lawiny sypkiej ziemi zwalać począł do grobu, stukot grud stawał się coraz cichszym, pokład, oddzielający Haźbietkę na wieki od świata żyjących stawał się coraz grubszym. Jędrzejowa przeklęczała na cmentarzu, dopóki na miejscu, gdzie doczesna powłoka jej Haźbietki napowrót oddana została łonu matki ziemi, nie począł wyrastać grobowy pagórek.

Wstąpiono do karczmy. Żyd karczmarz z poza brudnego szynkfasu z pogardą spojrzał na przybyłych. Jędrzejowa była ubogą wdową, ludzie śliwinieccy znani byli ze swej trzeźwości w całej okolicy i z tego powodu jak najgorzej zapisani w opinii karczmarzy. Poczęstunek był krótki, Jędrzejowa, co miała, sprzedała na chorobę Haźbietki, więc prócz kwarty wódki i suchych bułek nie stało jej na inne zbytki. Nie w głowie jej tam zresztą było zbytkowanie. Przedmiot jedyny, około którego teraz kręciły się jej myśli, stanowił Ignaś. Ignaś nie dawał jej spokoju. Coś ją podrywało z miejsca, aby go jak najprędzej zobaczyć. Błażejowa wiele z nim wyżyła biedy do powrotu Jędrzejowej. Przeniesiony w obce sobie otoczenie, nie miał u nikogo miru i prawie bez przestanku płakał. Ale gdy w progi izby weszła Jędrzejowa, wyciągnął do niej obie rączki, otworzył buzię, w której widniały cztery bielutkie ząbki, i podał jej do pocałowania. Jędrzejowa przycisnęła go do siebie i okryła pocałunkami.

Odtąd Ignaś stał się nieodłączoną częścią jej jestestwa. Gdy była w domu, nie miała spokoju, jeżeli Ignasia nie widziała około siebie; gdy się na czas dłuższy oddalała, zostawiając Ignasia na opiece kowalki Mateuszki lub stelmaszki Błażejowej, Ignaś był nierozerwanym myśli jej towarzyszem. Za tę miłość dzieciak równie serdecznem wypłacał jej się przywiązaniem. Nauczył się wnet chodzić i szczebiotać po swojemu. Gdy zatem Jędrzejowa wracała do domu, z okrzykiem »babyś« rzucał się jej naprzeciwko i podnosił rączki. Jędrzejowa brała go na rękę i obsypywała pocałunkami, serce w niej topniało.

Tym sposobem upłynęły niemal trzy lata od śmierci Haźbietki i pamięć jej poczęła się zagładzać pomiędzy żyjącymi. Jędrzejowa rzadko tylko miała sposobność pomyśleć o niej; szczerbę, wyrwaną w jej sercu przez śmierć męża i córki, zajął i wypełnił Ignaś. Jędrzejowa na onej mszy św. przed obrazem Matki Bolesnej ślubowała sobie w sercu, że mu zastąpi ojca i matkę, i ślubu tego dotrzymywała święcie. Pomimo swej pięćdziesiątki była jeszcze rześka i do pracy nie leniwa. Na praniu znała

się jak żadna inna, a i w kuchni, gdy się we dworze przytrafiło co nadzwyczajnego, była bardzo do użycia. Przedewszystkiem zaś można się było bez-



Dziwne spotkanie. (Obacz objaśnienia rycin na str. 368.)

warunkowo spuścić na jej rzetelność i uczciwość. To też zajęcia nigdy jej nie zabrakło. Finansowe następstwa choroby Haźbietki poczęły się zacierać, chata Jędrzejowej znów zajaśniała czystością i porządkiem.

Ignaś rósł i rozwijał się pod czułem okiem swej babki do zadziwienia. Nauczył się biegać i mówić. Odziany, jak na stan swój, czysto i przyzwoicie, chodził za nią do dworu i na pole. Lubili go wszyscy. I zasługiwał na to,

Nietylko bowiem nazwa sieroty jednała mu prawo do współczucia, ale był on sam w sobie dzieckiem na wskroś sympatycznem. W zewnętrznej postaci był wiernym obrazem swej matki. Jego modre jak bławatki oczy miały ten sam wyraz słodyczy i inteligencyi jak u nieboszczki Haźbietki; jego drobna, biała, niemal przejrzysta twarzyczka, jego wiotka, wątła postawa czyniły go, jak mawiano w Śliwińcach, jakby wykapanym po matce. Wraz z temi zaś cielesnemi przymiotami odziedziczył po swej rodzicielce niejakiś ryś melancholijny, widniejący w jego całem usposobieniu. Ignaś lubił oddawać się własnym myślom. Nieraz siedząc na progu chaty, obracał w swych drobnych paluszkach podjęty na ziemi kijek, ale po oczach jego widzieć było można, że myśl jego dziecięca była gdzieś daleko od przedmiotu, w który zdawał się wpatrywać.

— Babulu, — odzywał się nagle, jakby budząc się ze snu, — a czy duża była moja matula?

— O, tak, duża, mój Ignasiu, duża; bez mała większa niż twoja babula, — odpowiadała Jędrzejowa.

— A czy i ja będę duży?

— O, tak, i ty będziesz duży, większy może niż matula.

— A czy wy wiecie, co ja zrobię, gdy będę duży?

— A co ty zrobisz, jak będziesz duży, złoty mój Ignalku?

— Oto będę miał długi bat i cztery konie, jak nasz Franek, i powiozę was w szklanym wozie do kościoła, jak Franek wozi nasze państwo do kościoła.

Natenczas Jędrzejowa rzucała pracę, przybiegała do Ignasia, brała go na rękę, płakała z radości i całowała i znów całowała i znów płakała. Do Ignasia czuła coraz więcej niemal bałwochwalcze przywiązanie.

II.

Tymczasem na świecie nastawały dziwne rzeczy. Z urzędu przyszedł rozkaz, i ze Śliwiniec i innych wiosek poczęto ludzi ściągać do wójtów i poczęto z nich spisywać długie protokóły: kto, gdzie ich rodził, czy dawno są już tutaj, u kogo służą, czem się zajmują itp., poczęto dokładnie opisywać nos, oczy, włosy, wzrost i urodę. Ludzie przeczuwali coś niedobrego, ale coby znaczyć miały te wszystkie zajścia, na to nie było pomiędzy nimi zgody...

Zagadka się wkrótce wyjaśniła. Z Berlina nadszedł rozkaz, by wszystkich ruskich poddanych pochodzenia polskiego bez różnicy płci, stanu i wieku wydalić z granic monarchii pruskiej. W Śliwińcach trzecia część ludzi podpadała pod ten rozkaz...

Upłynęło kilka tygodni. Dzień był świąteczny dla Śliwiniec. Parafia miedzianowska, do której składu należały i Śliwińce, na Matkę Boską Szkaplerzną obchodziła poświęcenie kościoła a z niem główny swój odpust. Jędrzejowa była starszą w bractwie różańca św., jej obecność na uroczystej procesyi i na wielkiem nabożeństwie była niezbędna. Ale wcześnie wróciła do domu. W Miedzianowie w tym roku nie rozwinęło się przed i po nabożeństwie życie jak zawsze. Wiele rodzin zostało dotkniętych wydalaniami; wielu potraciło swych najbliższych krewnych, przyjaciół i sąsiadów, kir żałoby okrywał serca wszystkich. Upał tego dnia był wielki, tłok w szczupłym kościółku nie mniejszy. Jędrzejowa zatem, opuściwszy ręce na kolana, siedziała i drzemała. Drzwi do sieni były otwarte. Ignaś bawił się w sadku. Jędrzejowa przyniosła mu z odpustu piernik w żółtym papierku na tasiemeczce i piszczałkę glinianą w formie kogutka. Biegał więc po sadku i niemiłosiernie gwizdał. W tem Burek, pilnujący przed oknami sklepiku, zatargał się na swoim łańcuchu i począł wściekle ujadać. Równocześnie Ignaś, blady i dyszący, z wyraźnemi oznakami przestrachu, wpadł do izby i tuląc się do babki, ukrył swą jasną główkę w jej fartuchu. Jędrzejowa nie miała jeszcze czasu się upamiętać, gdy błyszcząca postać żandarma ukazała się we drzwiach.

— Morgen! — rzekł żandarm, stawiając w kącie izby obok siebie swój karabin.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — wybełkotała Jędrzejowa i przetarła oczy, nie dowierzając sobie, czy jej czasem zły sen nie mami.

Był to żandarm obwodowy Fritz Fritzig czyli właściwie Wojciech. Był on bowiem Polak, rodem z Warmii, ale zniemczony zupełnie przez szkołę a potem przez długoletnią służbę w wojsku. Po polsku mówił jednak i dla tego wyjmując z za pazuchy gruby notes, odezwał się do Jędrzejowej w dość czystej polszczyźnie.

— Wyście Agnieszka Banasiak, czy nie?

Pod Jędrzejową zadygotały kolana, jakby najcięższą zbrodnię miała na sumieniu, oprzeć się musiała o stół, aby nie upaść. Ledwie miała dość siły, aby wyjąkać:

— A tak, Agnieszka Banasiak, z domu Nawrocik, żona nieboszczyka Jędrzeja. Mój ojciec...

— Dosyć! — przerwał jej żandarm. — Podobno tu macie u siebie jakiegoś polskiego ucikiniera.

Jędrzejowej aż w oczach pociemniało.

— Najsłodszy mi go Jezu! — zawołała po chwili z przerażeniem. — A zkądżeby się tu wziąć miały ucikiniery. Mój nieboszczyk mąż zamarł temu blisko pięć lat, moja córka Haźbietka już trzy lata jak nie żyje. Wdowa jestem i prócz mnie żywej duszy nie ma w domu.

— A ten kto jest? — rzekł żandarm, wskazując na Ignasia, który napróżno starał się ukryć we fałdach jej sukni.

— Ten kto jest? — powtórzyła Jędrzejowa blednąc, i coś jakby żądło węża przeszyło jej serce. — To wnuk mój, syn córki mojej Haźbietki, która umarła, trzy lata temu będą na Wszystkich Świętych.

— A kto był jej ojcem?

— Ojcem jego był Kuba Ćmonik, ten sam, co to był »pomogrem« w śliwinieckiej gorzelni, a potem się ożenił z moją córką i umarł nagle... Panie świeć nad duszą jego!... kiedy zjechała rewizya.

— A skąd on był rodem?

Jędrzejowa się zawahała. Wreszcie rzekła:

— Bóg to wie jedyny, skąd on był rodem. Mówią, że z ojcem swoim chodził po świecie, zwyczajnie jak to biednemu czasem wypadnie, ale któż to tam może wiedzieć prawdę.

Żandarm nalegał; Jędrzejowa, choć może i wiedziała, zaręczała, że nie wie o miejscu pochodzenia nieboszczyka Kuby. Wreszcie żandarm rzekł:

— Wiecie co Jędrzejowa? My tu do ładu oboje nie przyjdziemy. Zabierzcie swojego wnuka i pójdziemy do pana amtmana spisać protokół.

Jędrzejowej tchu w piersiach nie stało. Do pana amtmana spisać protokół? Spisywanie aktów urzędowych jest dla naszego ludu zawsze czynnością złowrogą, tem bardziej tutaj, gdzie, jak wiedziała z doświadczenia, spisywanie protokółów kończyło się zawsze wydalaniem z kraju. Chwyciwszy więc za rękę żandarma, okryła ją pocałunkami i wołała z płaczem:

— Zmiłujcie się, panie żandarmie, nie odbierajcie mi tej jedynej pociechy w życiu. Toć i wyście ojciec, i wy wiecie, co to człowiekowi są dzieci.

Ignaś, widząc, że babka szlocha, uchwycił jej się tem mocniej za fałdy i głośnym zawtórował jej płaczem.

Była jedna przelotna chwila, kiedy sam żandarm się zawahał. Ale wnet się pomiarkował. Cóż? gdzie tu prawo? gdzie służba? Wyrywając zatem rękę z objęć Jędrzejowej, zawołał:

— Nie, moja Jędrzejowa, to nie idzie. Zabierajcie się i pójdziemy do amtmana.

Napróżno Jędrzejowa włóczyła się za nim i starała się napowrót pochwycić wyrwaną rękę. Żandarm rękę usuwał i powtarzał swoje.

— Nie, Jędrzejowa, to nie idzie.

Ha! cóż było począć? Przekonała się, że żandarma nie uprosi, poczęła się więc zabierać do wyjścia. Może pan amtman okaże się litościwszym. Wzięła Ignasia za rękę, żandarm przewiesił karabin przez ramię i wyszli. Jędrzejową obeszło cokolwiek, gdy przez wieś prze-

chodziła w towarzystwie żandarma, ale w Śliwińcach do przechadzek z żandarmem tak ludzie byli przyzwyczajeni, że mało kto zwracał na to uwagę.

Pana amtmana w domu nie było; był na polu przy żniwach. Jędrzejowa usiadła w jasnej, obszernej sieni przed biurem, Ignasia wzięła na kolana. Dzieciak, zmęczony gorączką i drogą, zarzucił rączki babce na szyję i usnął. Po niejakim czasie nadjechał pan amtman. Zobaczywszy w sieni kobietę z dzieckiem i żandarma, domyślił się celu ich przybycia. Przybywali mu nie w porę. Żandarm wyprostował się i zaraportował, że przyprowadza polskiego zbiega do spisania protokółu. Pan amtman machnął niechętnie ręką i poszedł pić kawę. Długo czekała Jędrzejowa nareszcie pan amtman wrócił, otworzył drzwi do biura i kazał przybyłym wejść za sobą. Jędrzejowa stanęła pokornie u samych drzwi, ledwie śmiała oddychać. Ignaś był u niej na ręku. Przebudzone ze snu dziecko poczęło popłakiwać.

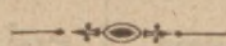
— Cyt, cyt, synalku — głaszcząc po twarzyczce dogadywała mu Jędrzejowa — nie płacz, robaczku bo pan się będzie gniewał.

Ale Ignaś się nie mógł uspokoić. Pan amtman był w złym humorze, płacz dziecka przyprowadzał go do pasyi. Tupnął zatem nogą i krzyknął na dzieciaka, żeby był cicho. Ignaś na dobre się rozpłakał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Pierwotne sposoby mierzenia czasu i dawne zegary.



I.

Sztuka zegarmistrzowska tak wysoko za dni naszych stanęła, tak dokładne i piękne rzeczy wyrabia, że sobie trudno wyobrazić jakieby dalsze jeszcze udoskonalenia mogły być w zegarach zaprowadzone. A obok tego i ceny się zniżają; dzisiaj tak już staniały i kieszonkowe i zwłaszcza ścienne zegary, że nawet i ubodzy ludzie mogą sobie tę wygodę sprawić. Ale nie tak to dawno nastąpiło. Niegdyś u monarchów tylko, u wielkich panów albo w bogatych klasztorach znajdowały się zegary. Są w starych kronikach opisy, co to kosztów i zachodów trzeba było, ażeby mieć zegar. Majstrów było bardzo mało; sprowadzano ich nieraz umyślnie z daleka, godzono się z nimi jakby szło o budowanie kamienicy; oprócz zapłaty za pracę, musiano im dawać jeszcze pomieszkanie i strawne przez cały czas roboty. Później, jak nastały zegarki kieszonkowe, były też kosztowne, majętniejszym tylko ludziom dostępne.

Wszystko na świecie co jest dobre i pożyteczne powoli się robi; tylko złe broić można bardzo prędko, bo na to nie trzeba ani namysłu ani pracy. Warto więc pomówić jak to sobie ludzie niegdyś bez zegarów radzili, i jakimi wynalazkami do nich doszli.

Kiedy, gdzie i przez kogo wymyślone zostały pierwsze, jakiebądź narzędzia do mierzenia podziałów czasu, tego już żadną miarą dojść niepodobna; ale musiało to być w czasach bardzo starożytnych. Obserwacye biegu planet i położenia gwiazd, potrzeba oznaczenia czasu odmian tych zjawisk niebieskich, były pierwszą bezwątpienia pobudką do szukania sposobów, przez które dałoby się naocznie okazać to wrażenie, jakie samo następstwo wydarzeń w pamięci pozostawia. Można więc powiedzieć, że historya sztuki zegarmistrzowskiej łączy się z nauką astronomii.

Żeby sobie zdać sprawę z pewnego przeciągu czasu, trzeba było przeciąg ten podzielić, obrawszy sobie jakieś zjawisko naturalne, mogące posłużyć za stałą miarę w niezmiernym ogromie świata. Dzień więc i noc, czyli kolej światła i ciemności, musiały stać się pierwszą zasadą dzielenia czasu. Następnie, w stósunku do całego roku,

dzień i noc uważały się za jedność podziałową pod nazwą doby. Dalej znowu ruch cienia od przedmiotów przez słońce oświeconych, skoro nań pilniej uważać zaczęto, posłużył do podzielenia samego dnia na pewną liczbę godzin. Tak wynaleziono kompasy. Kompas jest to gładka tablica kamienna, na płask umocowana na podmurowaniu niewysokiem, w miejscu otwartem, naprzykład na placu lub na dużym dziedzińcu; na środku tej tablicy osadza się śpiczasta



Stara miłość nie rdzewieje. (Obacz objaśnienia rycin na str. 368.)

skazówka żelazna lub mosiężna, na kilka cali wysoka; dokoła zaś wypisane są liczby, tyle, ile w ciągu dnia jest godzin. Jak słońce świeci, więc cień od skazówki pada na tablicę, i na którą liczbę cień pada, to ta właśnie jest godzina. Ma się rozumieć że w czas pochmurny i w nocy nic się na kompasie nie zobaczy.

Podział doby na 24 godzin przypisują Babilończykom. Naród ten mieszkał niegdyś w Azyi nad brzegiem wielkiej rzeki Eufrat; kraina ta należy dziś do państwa tureckiego i nazywa się Irak-Arabi*). Zapewne że i kompasy musiały być u Babilończyków w użyciu, jak równie i u dawnych Egipcyan. W starożytnym Rzymie kompasy ustawiane były po placach publicznych, i możni panowie trzymali osobnych niewolników do pilnowania godzin na kompasie i zawiadamiania o nich na każde zapytanie. Dla zwykłych potrzeb życia mogło to wystarczać, i niewiele znaczyło, że zanim niewolnik od kompasu wrócił, to tymczasem chwil kilka upłynęło; ale w ogólności kompas bardzo jest niedokładnem narzędziem, bo jak mówiliśmy, służy tylko we dnie i przy blasku słońca. W nocy trzeba już było miarkować czas po gwiazdach, to jest po wysokości onych nad poziomem, ale to dało się obserwować na niebie czystem; w noc pochmurną nie było już sposobu.

Jakkolwiekbądź, dwa pierwotne podziały czasu zostały już na zawsze przyjęte i zachowane. Przeciąg czasu, w którym się odbywa pozorny obieg słońca naokoło ziemi, czyli doba, albo inaczej d z i e ń s ł o n e c z n y, dzieli się na 24 godzin od południa do południa. Godzina ma, jak wiadomo, 60 minut, a minuta 60 sekund; sekunda zaś dzieli się jeszcze na 60 tercyi, tylko tych tercyi to już zwyczajne zegary nie pokazują, bo tego już w domowem życiu nie potrzeba.

Co zaś do samego początku doby, ten różnie był brany i u starożytnych i nowoczesnych narodów. Dawni Egipcyanie i Rzymianie zaczynali, jako też ogół dzisiejszej Europy zaczyna, dobę od północy; wspomnieni zaś Babilończycy i Persowie, nowożytni Grecy i mieszkańcy wysp Balearskich (na Śródziemnem morzu położonych, a należących do Hiszpanii), liczą od wschodu słońca; Chińczycy zaś i Arabowie od zachodu. Nieodrazu się ustalił w Europie i początek roku; zaczynano go to od Wielkiej-Nocy, to od Bożego Narodzenia, to w niektórych krajach we Wrześniu (jako i dziś żydzi w tym miesiącu rok zaczynają); aż wreszcie zgodzono się powszechnie w krajach chrześciańskich na 1 Stycznia. U Mahometan w Lipcu rok się zaczyna. Łatwo sobie wyobrazić jakie ztąd w dawnych kronikach i historyach zamieszanie co do czasu wydarzeń, gdy jedni tak, drudzy inaczej w różnych epokach lata liczyli; jest to dziś dla uczonych nie mała praca żeby to wszystko uporządkować i na teraźniejszy jednostajny rachunek czasu przełożyć. Wracając się do owych pierwotnych sposobów mierzenia czasu, gdy te jak widzimy, zależały od pogody, musieli ludzie myśleć nad zaradzeniem takowej niedostateczności innemi kombinacyami; to też naprowadziło na drogę do dzisiejszych mechanizmów zwolna wiodącą.

Historya tych usiłowań i prób wykazuje, z jaką to pracą postępował umysł człowieka ku rozwiązaniu trudnego zadania ścisłego wymiaru czasu; jest to poniekąd i historya mechaniki.

(Dokończenie nastąpi).



*) Babilońskie królestwo, którego początek jest bardzo starożytny, ale z pewnością niewiadomy, zostało jeszcze na lat pięćset kilkadziesiąt przed Narodzeniem Chrystusa Pana zawojowane przez sąsiedni naród Persów, potem razem z Persami zawojowali je Grecy, potem Rzymianie. W czasach po Chrystusie odbierali ten kraj Rzymianom niejednokrotnie Persowie; w wieku siódmym ery chrześciańskiej podbili go Arabowie, a nareszcie w wieku jedenastym Turcy.

CESARZ CHIŃSKI.

UCIESZNE OPOWIADANIE.

Było to podczas wiosny roku 1815. W stółecznem mieście Austryi, Wiedniu, panowało podówczas wesołe życie. Zjechali się tam cesarz rosyjski i król niemiecki i wraz z cesarzem austryackim radzili nad podziałem Europy po zwyciężeniu Napoleona. Każdy z tych monarchów chciał uwidocznić swą potęgę i zjechał do Wiednia w otoczeniu licznej, błyszczącej od złota świty. Dla Wiednia nastały czasy bardzo wesołe. Jeden dostojnik za drugim urządzał bale i inne zabawy, słowem, wśród wiru tych uroczystości zapomniano o wszystkiem innem.

Takie zabawy przeciągają się zwykle późno w noc i sprowadzają następnie na uczestników pewną ociężałość fizyczną i umysłową, która objawia się w nich przez cały następny dzień. Tak było i z uczestnikami zabaw balowych we Wiedniu. Jedna tylko osoba zdawała się nie uczuwać następstw tych nocnych zabaw, a był nią sam car rosyjski, panujący naówczas Aleksander I. Codziennie z rana zarzucał na siebie pojedyńczy mundur oficera rosyjskiego i niepoznany chodził samotnie po ulicach Wiednia, ażeby się przypatrywać ruchowi stolicy państwa austryackiego. Razu pewnego spostrzegł oficera rosyjskiego, który przystawał prawie przed każdym domem, jakby nie wiedział, do którego z nich ma wstąpić. Zaciekawiony car zbliżył się do niego i zagadnął słowy:

— Czy pan szuka kogo?

— Tak jest, — odpowiedział oficer. — Mój przełożony przysłał mnie do Wiednia jako kuryera, ażebym doręczył depesze rozmaite osobiście carowi Aleksandrowi. Kazano mi w tym celu udać się do Hofburgu. Ponieważ jednak po raz pierwszy jestem w Wiedniu i nie znam żadnej zaufanej osoby, więc jestem w wielkim kłopocie, jak Hofburg wynajdę i jak się tam do cesarza dostanę.

Spodobała się carowi otwartość oficera, który widocznie ani się domyślał, z kim mówi. Car zaś ze swej strony postanowił nie zdradzać dostojeństwa swego.

— Hm, — powiada, — jestto co prawda niemiła sprawa. Ale nie martw się pan. Mogę pana zapewnić, że cara obecnie nie ma w pałacu i przed upływem dwóch godzin nie powróci.

— Tedy nic mi nie pozostaje, jak udać się do Burgu i tam czekać, aż cesarz powróci, — odpowiedział oficer z widocznem nieukontentowaniem. — Prosiłbym Pana zatem o wskazanie mi pałacu cara.

— Chętnie to uczynię, — odpowiedział car uśmiechnięty. — Otóż patrz Pan. Widzisz Pan ów dumnie wznoszący się budynek... lecz przychodzi mi dobra myśl do głowy, — przerwał nagle. — Nie chciałbyś mi Pan może towarzyszyć w przechadzce i opowiedzieć mi pokrótce, co tam słychać w mej ojczyźnie, którąś Pan niedawno dopiero opuścił? Odwdzięczę się Panu za to, towarzysząc Mu następnie do Burgu.

— Zgoda, towarzyszu, — zawołał wesoło oficer rosyjski i podał carowi z całą szczerością prawicę.

Car spoglądał z coraz to większem upodobaniem na młodego człowieka. W toku rozmowy wypytał się go jak najdokładniej o rodzinę, o jego stósunki domowe i prywatne, o zamiarach, jakie ma w przyszłości itd. itd. i dowiedział się, że towarzysz jego nazywa się Oranow, że wstąpił bardzo młodo do marynarki i nigdy jeszcze nie był na dworze carskim.

— W takim razie nie będziesz Pan znał zapewne i cara? — zapytał Aleksander.

— Nie! Nie miałem przyjemności widzenia Najjaśniejszego monarchy naszego.

— A może widziałeś Pan kiedykolwiek portret cara?

Oficer zamyślił się przez chwilę.

— Podobiznę jego co prawda posiadam, ale jestem przekonany, że zakopcony ten portret nie ma najmniejszego podobieństwa z rysami twarzy Najjaśniejszego Pana.

— Dla czego?

— Ponieważ ja sobie w mej wyobraźni przedstawiam cara zupełnie inaczej. Na owym drzeworycie wygląda on jak zgroźny niedźwiedź polarny, mniej więcej, jak mój przełożony, który mnie tymczasem zapewnia, że Najjaśniejszy Pan to piękny, przyjemny mężczyzna.

Carowi zdawało się, że nastąpiła chwila, w której powinien powiedzieć towarzyszowi swemu, kim jest.

— Tego osądzić nie mogę, — rzekł, — ponieważ car stoi przed panem w mojej osobie. A teraz, — mówił dalej, — doręcz mi Pan depesze, któreś dla mnie otrzymał.

(Dokończenie nastąpi.)

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Dziwne spotkanie. Rzecz dzieje się w wiekach średnich, kiedy to po dworach książęcych popisywała się młodzież rycerska w turniejach, to jest rycerskich zapasach. Na taki turniej zjeżdżało się rycerstwo ze wszystkich stron a wielkim szacunkiem otaczano zwycięzcę. Niejeden młodzieniec pozyskał sobie przy takiej sposobności serce i rękę ślicznej dziewicy, niejeden zwyciężony zawrzał strasznym gniewem na swego przeciwnika, który go zwyciężył. Na rycinie widzimy rycerza z krzyżem wyszytym na piersiach. Poszedł on w bój krwawy walczyć za świętą swą wiarę. Nieprzyjaciel rozproszył jednak wojsko i rycerz ratując się ucieczką z pola bitwy przed murami klasztoru upadł wycieńczony na siłach. Przybiegają do niego miłosierni zakonnicy, jeden z nich pochyla się nad nim, pragnąc go podnieść, gdy w tem... wzrok ich dziwnie splótł się ze sobą. Rycerz poznaje zapaśnika, który w turnieju go zwyciężył. Poznaje tego, któremu zemstę zaprzysiągł; on to bowiem nietylko go zwyciężył, on mu odebrał serce jego umiłowanej. Zapomniał o przykazaniu chrześciańskiem, które nakazuje miłować swych nieprzyjaciół i na każdym kroku prześladował go. Dawniejszy rycerz i dzisiajszy zakonnik schronił się do klasztoru. Tam zrobił rozbrat ze światem i poświęcił się wyłącznie służbie Bożej. Prześladowca jego zaś straciwszy umiłowaną, która postanowiła również oddać się na usługi Boskiego Oblubieńca swego, postanowił resztę życia poświęcić w obronie wiary świętej. Tu oto spotkali się obaj... wzrok leżącego zabłysł raz jeszcze dziką zemstą, ale pod wpływem łagodnego wzroku zakonnika i on złagodnieje. Chrześciańska pokora zakonnika podbije serce mściwego rycerza i obaj pogodzą się w imię tego Ukrzyżowanego, który umarł dla zbawienia nas wszystkich, a który wisi na budynku klasztornym przed oczyma dwojga, którzy ze sobą w tak dziwnych okolicznościach się spotkali.

Stara miłość nie rdzewieje. Stara to, niezbita prawda! Niejeden jednak w dzisiejszych czasach twierdzi, że ludzi, którzy pobierają się z prawdziwej miłości, bardzo jest mało. Dziś ogarnął wszystkich duch materyalistyczny. Pieniądz dzisiaj rządzi światem, pieniądz dziś rozstrzyga i w kojarzeniu małżeństw. Prawda! Cielec złota opanował całą istotę człowieka, zewnętrzną i wewnętrzną. Mówią niektórzy, że niejeden z ludzi niema nawet czasu myśleć o ożenku a tem mniej o miłości. Są jednak wyjątki, są ludzie, którzy potrafią się wznieść ponad poziom ludzkich namiętności, którzy wychowani za młodu w zasadach, że nie pieniądz stanowi szczęście doczesne człowieka, zataczają przed sobą szersze ideały. Pieniądz dziś w życiu potrzebny, tego nikt nie zaprzeczy, ale czyż on zdolen dać człowiekowi prawdziwe szczęście? Czyż człowiek na to żyje na tym świecie, aby stał się niewolnikiem złota, samolubem grosza, który dla niego gotów wszystko poświęcić? Pieniądz nie może być celem człowieka i niejeden na schyłku poznawszy czczość życia w gonitwie za mamoną, pyta samego siebie: »Czyś na to tylko żył na świecie?« Szczęście człowieka kwitnie gdzieindziej. Przypatrzmy się tej parze staruszków? Z jakiem ona uśmiechniętym wzrokiem spogląda przed siebie? To uśmiech zadowolenia — zadowolenia wewnętrznego z pracowicie przepędzonego żywota ku chwale Boga a ludziom na pożytek. Pobrali się z wzajemnego pociągu ku sobie, rozumieli się nawzajem, myśli jednego były myślami drugiego, słowem żyli ze sobą, jak Bóg przykazał. Żadna chmurka nie zasępiła im drogi życia. Tacy rodzice wychowują z pewnością uczciwie dziatki swoje. Patrzą też teraz z zadowoleniem w owoc pracy długoletniego żywota swego i prawdziwe szczęście opromienia im serca. Pobrali się z miłości prawdziwej i ta miłość pozostał im do późnej starości. Taka miłość nie rdzewieje...

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

Jubileusz zapałki.

Jönköping w Szwecyi jest miastem niewielkiem, ale na cały półwysep Skandynawski sławnem. Tam przed 20 laty położono kamień węgielny pod pierwszą fabrykę, poświęconą wyłącznie wyrabianiu szwedzkich zapałek. Mieszkańcy Jönköping porobili znaczne majątki na »Tänstikker utan svavel ooch Phosphor«. W r. 1884 produkcyą owej pierwszej fabryki obliczono na 3½ mil. marek.

Wynalazcą nowej zapałki, a zarazem twórcą nowego przemysłu był Karól Lundström, któremu wdzięczni mieszkańcy Jönköping jeszcze za życia pomnik wystawili na samym środku najpiękniejszego placu miejskiego. Napis na podstawie głosi, iż na pomniku wyobrażony jest ojciec wynalazku, a zarazem dobroczyńca całego miasta.

Ostatnie miano jest sprawiedliwem, pierwsze — nie, gdyż na pomysł fabrykowania zapałek, bez fosforu wpadł pierwszy Antoni Schrötter, profesor chemii, Wiedeńczyk, około r. 1840. Schrötter był wynalazcą czerwonego fosforu, który dopiero umożliwił wykonanie pomysłu zapałek szwedzkich.

Weźmy zapałkę i przypatrzmy się jej dobrze. Dość potrzeć kawałek drewienka o ścianę lub o wieczko pudełka, a drzazga buchnie płomieniem. Na pozór nic łatwiejszego nad wymyślenie takiej kombinacyi. A jednak wieki na to czekały i zadowalniać się musiały zapalaniem hubki od iskier, wydobywanemi z krzemienia. Z czasem nauka chemii zajęła się sprawą łatwego zaopatrywania się w ogień i po długich usiłowaniach doszła do celu. Należało przedewszystkiem wymyślić taką mięszaninę, której części składowe łączyłyby się tak silnie, aby połączenie ich objawiało się płomieniem.

Wynalazcą takiej mięszaniny był Klaudyusz Ludwik Berthollet (1718—1822). Wzorem dzisiejszej zapałki był kawałek drewienka, zaopatrzonego w główkę, złożoną ze specyalnie spreparowanego fosforu i kalium. Koniec drewienka maczano w skoncentrowanym kwasie siarczanym, a przy wyjmowaniu łebka z flaszeczki płomień wybuchał. Zapałki takie nie były przyjemne w użyciu, choćby dla tego, iż każda kropla mięszaniny, ściekająca z drewienka, wypalała dziurę w odzieniu, a jeżeli padła na skórę, powodowała oparzenia bardzo bolesne.

Z różnemi, nieznacznemi zresztą zmianami, utrzymały się zapałki owe aż do r. 1830. Następnie przyszły zapałki z łebkami tak spreparowanymi, iż dostatecznem było ich potarcie o jakikolwiek przedmiot chropowaty, aby buchnęły płomieniem Wynalazca tego typu zapałek, nie przekazał swojego nazwiska potomności. Niemcy twierdzą, iż wynalazku dokonał jakiś student, zamknięty w więzieniu w Gohen Asperg. Ale i tu zapałki miały swoje wady, przedewszystkiem eksplodowały niekiedy bez żadnej widocznej przyczyny, co nawet sprawiło, iż przywóz ich do niektórych państw był wzbroniony. Dopiero od roku 1835 przekonano się, iż niebezpieczeństwo nie jest tak wielkiem, aby przed niem aż zamykać szlabany rogatek granicznych.

Tymczasem chemia pracowała w dalszym ciągu. Nauka ta powiedziała sobie, iż w XIX wieku człowiek jest za wysoko ucywilizowany, aby nie miał ognia na każde zawołanie. Europejczyk nowoczesny ma prawo żądać, aby mu przemysł dostarczył zapałek bezpiecznych, łatwopalnych, nie wybuchowych ni ztąd ni zowąd, tanich i bezwonnych. Wszystkie te przymioty chemia połączyła w zapałce szwedzkiej, która, jak się rzekło powyżej, w roku bieżącym obchodzi pięćdziesięcioletni jubileusz swego istnienia.

Zapałki szwedzkie zrobiono w ten sposób, iż same w sobie nie zawierają wcale fosforu. Przeniesiono tę substancyą na pudełko. Fosfor czerwony ma nadto tę zaletę, że nie jest trujący. Zapałka szwedzka może być porzucona gdziekolwiek bez niebezpieczeństwa, zapala się bowiem tylko o własne pudełko. Stowarzyszenia asekuracyjne stwierdzają w swoich wykazach statystycznych, iż od czasu wprowadzenia zapałki szwedzkiej w użycie, liczba pożarów zmniejszyła się znakomicie.

Fabrykacya zapałek nowego typu dosięgła w Szwecyi najwyższego rozwoju. W r. 1865 z półwyspu Skandynawskiego wywieziono na świat cały 1,200,000 kilogramów zapałek, dziś zaś wywóz wzrósł dziesięćkrotnie, pomimo, iż w każdem państwie powstaje co rok mnóstwo fabryk, produkowaniu t. z. zapałek szwedzkich poświęconych. Fabryka w Jönköping wyrabia obecnie tyle zapałek, ile 26 pozostałych fabryk razem. Produkcya ta przedstawia wartość siedmiu milionów marek, a daje utrzymanie 1500 robotnikom. Jednocześnie wzrosło i stósownie maszyn do tej fabrykacyi. Maszyny te zaś są tak kunsztowne, iż niekiedy zanurzają w cieczy 3 do 4 razy do 6000 zapałek na minutę. Współzawodnictwo państw europejskich od dawna podcięłoby przemysł szwedzki, gdyby nie okoliczność, iż Szwecya ma dotychczas najtaniej: drzewo, siłę roboczą i siłę wodną, używaną jako motor.

Legenda o św. Marcinie i o gęsiach.

Cześć dla św. Marcina jest w całej Polsce od wieków rozpowszechniona, co dowodem imiona, licznie przez lud na chrzcie św. od tego Świętego przyjmowane. Liczne są także kościoły pod wezwaniem św. Marcina, w Poznaniu jest nawet całe przedmieście, dziś najhandlowniejsza ulica imieniem tegoż Świętego nazwana i kościół parafialny Jemu poświęcony.

O św. Marcinie wiemy z starych zapisków, że się urodził jako syn pułkownika rzymskiego w południowych Węgrzech w roku 316. Ojciec jego był w te strony z wojskiem wysłany, by tam ubezpieczał granice cesarstwa rzymskiego przed napadami barbarzyńców. Święty Marcin mając zaledwie lat 16, wstąpił do wojska i szybko postępował z stopnia na stopień. Bywał w Rzymie i tam mógł świetną zrobić karyerę, mając poparcie ojca, ale młody chorąży rzymski już jako młodzieniaszek wtajemniczony był w tajemnice wiary katolickiej, której wówczas jeszcze publicznie nie było wolno wyznawać, bo całe cesarstwo rzymskie było w swym ustroju pogańskie. Po miastach było mnóstwo ludu chrzconego, nie było to tajemnicą, ale władze były pogańskie.

Św. Marcin wziął więc, jakbyśmy dziś powiedzieli, dymisyą z wojska, i otwarcie przyznawał się do nauki chrześciańskiej. Musiał z powodu tego uciec na wyspy przy Włoszech; tam zapoznał się jeszcze lepiej z nauką Chrystusa i udał się jako apostół do dzisiejszej Francyi, która także pod rządy rzymskie wówczas należała. Wiemy także, że w r. 375 został Biskupem w Tours, założył klasztor w Marmontiers i tam też oddał Bogu ducha 11-go Listopada 402 roku po narodzeniu Chrystusa. Rządził zatem swą dyecezyą lat 27.

To jest wszystko, co nam dzieje zapisane o św. Marcinie opowiadają.

Ale — jak się gęsi i to pieczone dostały do św. Marcina? O tem zapiski historyczne nic nie donoszą, ale mówią legendy, t. j. opowiadania, jakie sobie podawano z pokolenia do pokolenia. Zkąd się więc wzięła gęś pieczoną do św. Marcina. Otóż w dawnych wiekach opowiadano sobie, że kiedy św. Marcin został wybrany na biskupa w Tours, nie chciał przez skromność w żaden sposób tej godności przyjąć, i gdy go szukano, by go zawezwać do objęcia urzędu biskupiego, uciekł i schował się do stodółki, w której były gęsi zamknięte. Byliby go może nie znaleźli, ale gęsi przez wrzaskliwe gęganie naprowadziły ludzi na miejsce, gdzie się wybrany biskup schował. Przyjął godność biskupią, ale przez całe lat 27 był na gęsi zagniewany i jeszcze na łożu śmiertelnem prosił, żeby wszystkie gęsi w Tours pozabijano, bo one mu przeszkodziły, że nie pozostał skromnym apostołem.

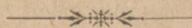
Trudno przypuścić, żeby św. Biskup na łożu śmiertelnem nie miał darować gęsiom ich winy i w ten sposób straszny mścić się na nich. To też inna legenda, piękniejsza i prawdopodobniejsza opowiada nam, dla czego spożywają się pieczone gęsi na dzień św. Marcina.

Św. Marcin był w swej dyecezyi w Tours już za życia bardzo czczony i kochany. Kiedy się więc rozeszła po dyecezyi wieść o jego śmierci, wszystko spieszyło do Tours, by uczcić umiłowanego Biskupa. Spieszyli do Tours z całej dyecezyi księża świeccy, zakonnicy i wierni ochrzceni. Wiedziano, że w Tours zgromadzą się na pogrzebie świątobliwego Biskupa ogromne tłumy. W owym czasie nie było kolei, restauracyi też nie było; więc kto się udawał do Tours, ten się zaopatrywał w żywność. W dyecezyi Tours nie wszyscy jeszcze ludzie byli ochrzceni; był tam pogański obyczaj, by znosić kapłanom gęsi na ofiarę dla bożków. Zgodnie z tym obyczajem zabierali wszyscy jadący na pogrzeb gęsi z sobą i gęsi te spożywali. Podczas pogrzebu prawie nic innego w Tours nie jedzono, jak tylko gęsi i od tego ma pochodzić zwyczaj, że na dniu św. Marcina gęś pojawia się na stole. Obyczaj przeszedł od Francuzów do Niemców, a od Niemców do Polski.

A zkąd się wzięły rogale na dzień św. Marcina. Legenda opowiada, że jeden z bożków w owym czasie uczczonych dowiedział się także o śmierci św. Biskupa i postanowił przybyć na jego pogrzeb. Jechał po obłokach w dwa ogniste rumaki, dobrze kute, a że miał drogę daleką, więc kazał konie tak pędzić, że pogubiły podkowy i bożek nie dojechał. Podkowy pospadały z obłoków na ziemię i na pamiątkę tego piekarze piekli ciasta w kształcie podkowy, które dziś jeszcze po gazetach ogłaszają jako rogale.

W Francyi winiarze mają także wielką cześć dla św. Marcina. Wytoczyli oni wszystkie sądki z winem na pokrzepienie tych, co na pogrzeb św. Biskupa do Tours przybyli. Potem w dzień 11 Listopada wychodzili oglądać niebo; jak było wiele gwiazd na niebie, to był znak, że następnego roku winobranie będzie obfite; jak mało gwiazd świeciło, to miało znaczyć, że winnice liche wydadzą sprzęty. W Francyi do gęsi, pieczonej na dzień św. Marcina, dnia 11-go Listopada, stawiają też obficie wino. U nas na Szląsku winnic nie ma, ale tam, gdzie się zwyczaj stawiania pieczonej gęsi w dzień św. Marcina przyjął, popijają także, bo mówią, że gęś — lubi wodę.

Taka jest legenda o gęsi pieczonej w dzień św. Marcina.



Praktyczne rady.

— **W jaki sposób** można najlepiej zrobić skórę u rąk miękką, delikatną i jasną? Należy wsypać do wody trochę boraksu i zmyć w niej ręce. Na plamy, które mimo to nie ustępują, można użyć nieco soku cytrynowego.

— **Żeby pierze na których śpiemy nie szkodziły zdrowiu.** Zły jest zwyczaj nieprzewietrzania przez rok cały pościeli, szkodliwszym jest sypianie na poduszkach i pod pierzynami, których pierze przez długie lata nie widziało słońca, najgorszym zaś sypianie na pierzach starych, na których kilka pokoleń wypoczynku używało. Pościel powinna być przewietrzana kilka razy na rok, a pierze przynajmniej raz na dwa lata powinny być myte i czyszczone. Ta ostatnia operacya dokonywa się w balii, w której pierze wysypane z poduszek i pierzyn piorą się w workach z rzadkiego muślinu, letnią wodą bez mydła. Następnie wieszają się w tych workach na słońcu i w końcu roztrzepują, dopóki zupełnie nie wyschną.



Rozmaitości.

* **Arszenik** jest jak wiadomo, silną trucizną. Mimo to znajdują się ludzie, którzy bez niego się obyć nie mogą. Są osobne kraje, gdzie jedzenie arszeniku należy do namiętności mieszkańców. Do nich należy Tyrol i Styrya w Austryi. Dyrektor werku, gdzie wyrabiali arszenik i z biegiem czasu nauczył się go jadać 8 razy tyle, co w początkach. Pewien lekarz znał parobka, który od 12 lat codziennie spożywał pewną ilość arszeniku. Parobek był przytem zdrów, jadł i pił z apetytem, któregoby mu pozazdrościł niejeden śmiertelnik i żył potem jeszcze 15 lat. Szczególnie parobcy, drwale i leśniczy, oddawają się w Styryi temu nałogowi. Rozpoczynają zazwyczaj w 17 lub 18 roku i jadają arszenik do końca życia swego. Niejeden z nich dożył późnych lat. Pewien lekarz znał ludzi, którzy jadając arszenik od kilkudziesięciu lat, dosięgali 70 i 80 roku, a nawet i późniejszych lat. Ludzie ci powiadają, że arszenik chroni przed chorobą i jest dobrym środkiem przeciwko duszności. Lekarz ów twierdzi, że osoby jadające arszenik, wyglądają rzeczywiście zdrowo, mają cerę rumianą, ale tylko osoby silne mogą arszenik używać, słabszym nie służy. Arszenik podobnie jak tytoń wywołuje w początkach mdłości, ale takowe ustępują, gdy człowiek doń się przyzwyczai. Jest jednak wiele wypadków, gdzie arszenik działa

Dowcipna gosposia.



Krzyk się rozlega na wód głębinie.
To człowiek jakiś w nurtach wody ginie.
Patrzy kobieta, litość się w niej budzi
Serce jej mówi: trza ratować ludzi.



Tchórz Żarbyś jednak myśli inaczej.
Ratować topielca wcale nie raczy.
Ani rozkazy ani zaklęcia,
Nie mogą przemódz uporu zwierzącia.



Gosposia po koncept wchodzi do głowy.
Namyśla się chwilę — plan już gotowy.
Rzuca kiełbasę — gratka nielada
Żarbyś w skok za nią, ją dobyć wypada.



Spotkała kara Żarbysia niecnotę.
Podwójną on bowiem ma teraz robotę.
Z kiełbasą w pysku, i z siłą w ogonie
Stanął on jednak w człowieka obronie.

na ciało i sprowadza w końcu śmierć. Ludzie w hutach, gdzie arszenik wyrabiają, przez długi czas wyglądają zdrowo. Gdy nadejdą jednak lata, człowiek poczyna więdnieć i wkrótce umiera. To arszenik wpędził go zawcześnie do grobu.

* **Ktoby** chciał uwierzyć, że w kamieniach żyją żaby i ropuchy? A jednak jest to prawdziwem. Tylu a tylu ludzi może to zaświadczyć nawet w dzisiejszym czasie. Pod miastem Kassel znalazł w roku 1795 dr. Murhars trzy żyjące ropuchy w kamieniu, w wydrążeniu formy jaja. Wydrążenie pokryte było naokół jakąś żółtawo-brunatną cieczą. Był to twardy kamień, znikąd nie mógł mieć dostępu powietrza a jednak w tem kamieniu stworzenia te żyły. Z trudnością udało się je zmusić do opuszczenia kamienia. Gdy nareszcie wyskoczyły na trawę, skakały na pozór swobodnie, ale w pół godziny potem przestały żyć. Podobny wypadek zdarzył się w Ameryce w hrabstwie Niagara. Zarośnięta w kamieniu ropucha ożyła na powietrzu, ale krótko potem zdechła. Takich wypadków, możnaby wiele naliczyć. Ale nietylko ropuchy i żaby, ale i robaki i jaszczurki napotykano wewnątrz kamieni. Zkąd to pochodzi? Zwierzątka te zagrzebują się wśród zimy głęboko w mur, często tak głęboko, że nie odczuwają promieni słonecznych, któreby je mogły przywołać do życia. Masa mulista twardnieje z biegiem czasu i żaba odcięta jest na zawsze od świata. Ciekawość jedynie, jak długo stworzenie to może w tak zarośniętej jamie żyć? Tego dotąd stwierdzić nie zdołano. Uczeni twierdzą także, że i z braku wilgoci zwierzątka te do życia nie powracają. Sławny podróżnik i przyrodoznawca Humboldt opowiada, że krokodyle i węże wodne zagrzebują się wśród posuchy letniej w ile i popadają w głęboki sen, podobnie jak zwierzęta rozmaite zimą. Budzą się dopiero, gdy nadejdzie czas ożywiającego deszczu.



ŻARTY.

— Ależ pan ma już łysinę!

— To, proszę pani, dziedziczna wada naszej rodziny, już ojciec mój i wszyscy bracia zaraz przy urodzeniu mieli łysiny.

Jeden z galicyjskich żołnierzy, nieumiejący czytać, dostał z domu list, prosił więc swego kamrata, aby mu go przeczytał, a niechcąc, aby ten wiedział, co do niego piszą, zatkał mu uszy.

— Jakże, kumotrze wyrwał ci cyrulik ząb?

— A toć wyrwał, ale kumotrze jeno takie żelazko przyłożył do zęba i już go nie było i za to kazał sobie 75 fenygów zapłacić. Jak nasz owczarz ząb rwał, to mnie trzy razy koło stołu obciągnął i jeno my półkwaterek wódki za to wypili.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.